

W poszukiwaniu swojego miejsca

ROZMOWA Z KRYSTYNĄ SKUSZANKĄ

W 1952 r. nowy dyrektor opolskiej sceny dramatycznej, Ireneusz Erwan, zaangażował grupę młodych aktorów — absolwentów szkół teatralnych w Warszawie i Krakowie oraz parę początkujących reżyserów — Krys-tynę Skuszanek i Jerzego Kra-sowskiego. Za swój pierwszy spektakl w Opolu, będący jej pracą dyplomową, Skuszanka dostała Nagrodę Państwową. Był to głośny w kraju „Sztorm” Billa Biełocerkow-skiego. Od tego przedstawi-enia rozpoczął się „złoty o-krzes” naszego teatru, który trwał trzy lata. Okres Sku-szanki. Jej reżyserowania i sprawowania przez dwa sezo-ny kierownictwa artystyczne-go, współpracy z Kantorem, Szajną i W. Krakowskim ja-ko scenografami. Potem były: Nowa Huta, warszawski epi-zod w Teatrze Polskim, Wro-cław, Kraków. Teraz Skuszan-ka dzieli z mężem, Jerzym Krasowskim, kierownictwo ar-tystyczne Teatru Narodowego w Warszawie, któremu Kra-sowski dyrekturuje.

— Gdy rozmawialiśmy po-przedni raz, powiedziała Pa-ni, że nie należy pracować w jednym teatrze dłużej niż siedem lat, bo po takim mniej więcej czasie następu-je znużenie sobą po obu stro-nach rampy. Czy miniony już okres pracy w krakow-skim teatrze noszącym imię Pani ukochanego autora, Ju-liusza Słowackiego, utwier-dził Panią w tym przekona-niu?

— Prowadziliśmy z mężem, Jerzym Krasowskim, ten te-atr dziewięć lat. Może właś-nie o dwa lata za dużo, cho-ciaż pod koniec krakowskiej kadencji zrobiłam spektakl, do którego przywiązuję wiel-ką wagę i mam bardzo oso-bisty stosunek.

— Domyślam się, że chodzi o „Brata naszego Boga” Karola Wojtyły.

— Tak. W tej sztuce widzę coś niesłychanie istotnego i szczególnie mi bliskiego, a mianowicie bardzo trudną, męczącą drogę do odnalezienia swojego posłannictwa, właściwego miejsca w życiu. Drogę, jaką przebywa malarz Adam Chmielowski, dążąc ku czemuś wyższemu, co znajduje jako brat Albert. Po tej robocie reżyserskiej z całą świadomością czekałam na coś podobnie niezwykłego i to właśnie znalazłam na jego drodze teatralnej w Norwidzie, w jego „Zwolonie”.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że każde moje kolejne przedstawienie wynika z poprzedniego, jest dla mnie jakąś koniecznością.

— Czy po przeszło trzydziestu latach uprawiania zawodu reżysera jest Pani pewna trafności swojego wyboru?

— Nie mogę powiedzieć, że znalazłam swoje miejsce na ziemi tak, jak Adam Chmielowski czy Zwolon — ktoś, kto nie jest zaskakiwany przez rzeczywistość, potrafi się jej przeciwstawić lub ją wchłonąć. Ja mam ciągle jej szczerą świadomość, że mną rzeczywistość wstrząsa, wprowadza mnie w stan niepoko-

ju i wątpliwości. Patrząc z za-
trwożeniem w przyszłość i
siebie samą. Może dlatego
chce mi się nadal szukać od-
powiedzi na wiele dręczących
pytań w sztuce.

— Przejęliście Państwo Te-
atr Narodowy po Hanuszkie-
wiczu, w niedobrym czasie.
Warszawskie środowisko te-
atralne jest zdezintegrowane.
Część aktorów odeszła z ze-
spółu po zmianie dyrekcji.

— Każda zmiana dyrekcji
pociągą za sobą zmiany w
zespole. Na miejsce tych,
którzy odeszli — nie było ich
wielu — przyszli inni. Mamy
90-osobowy zespół, składają-
cy się z sześćdziesięciu męż-
czyzn i trzydziestu kobiet.
Przeważa młodzież, jest spo-
ro aktorów w najlepszym
wieku 40—60 lat. Naszemu
zespółowi trzeba jeszcze bar-
wy aktorskiej. Każdej sztuki
nie bylibyśmy w stanie ob-
sadzić, ale duży repertuar
możemy grać. Fredrę, Słowac-
kiego, Szekspira. Obok nich
musi być na naszej scenie
Wyspiański, Witkacy. Język
polski i aktorstwo powinno
się wykształcać na Fredrze i
Słowackim. To ideał naszego
ojczystego języka. Obecny ze-
spół Narodowego jest do ta-
kich zadań przydatny.

— Co Teatr Narodowy bę-
dzie mógł pokazać w przy-
szłym roku na opolskich Kon-
frontacjach?

— Z klasyki narodowej za-
mierzamy wystawić „Lillę We-
nedę” w mojej reżyserii.
Treści tego dramatu są obec-
nie niesłychanie aktualne. In-
teresuje mnie rozwarstwienie
mentalności Polaków, podział
przebiegający w środowisku
inteligencji. Ta sprawa była
w mojej krakowskiej interpre-
tacji „Lilli Wenedy” i chcę
do niej wrócić. Krasowski ma
w planie sztukę Marii Dą-
browskiej „Geniusz sierocy”.
To już chyba także klasyka.

Po „Zemście” następną Fredrowską pozycją ma być „Pan Jowialski”, prawdopodobnie w reżyserii Bronisława Minca.

— A Pani właśnie plany, oprócz „Lilli Wenedy”?

— Teraz chcę sięgnąć do Szekspira, po jego „Antoniusza i Kleopatrę”. Boję się tego utworu ale czuję, że w jego czytaniu jestem na dobrym tropie. Odczuwam ciągły niedosyt po realizacjach moich ukochanych sztuk. W „Lilli Wenedzie” podlega mi dziś rezonans tej sztuki w tym naszym trudnym czasie i to, co ja będę musiała w jej interpretacji zmieniać w związku z obecnym czasem. Do „Burzy” Szekspira wracałam pięć razy i ciągle myślę, że muszą to znowu zrobić, bo z żadnego przedstawienia nie byłam zadowolona. Jeszcze nie dotarłam do ostatecznego, pełnego sensu tej sztuki, który przeczuwam. „Burza” — to jedna z moich wielkich fascynacji. W Narodowym wróciłam do „Jak wam się podoba”, nie zmieniając — w stosunku do wro-

clawskiej inscenizacji — zasadniczego rozumienia Szekspirowskiej Arkadii, ale szukać nowych środków wyrazu.

— Należy Pani do grupy polskich twórców teatralnych współpracujących z zagranicznymi scenami. Wiem, że od wielu lat reżyseruje Pani w Norwegii.

— Tam m. in. powstało na Scenie Narodowej w Bergen jedno z moich trzech przedstawień „Miarki za miarkę” Szekspira, a w Oslo — jedno z pięciu „Burzy”. Ostatnio zrealizowałam w Stavanger „Las” Ostrowskiego. Była to norweska prapremiera tej sztuki. Teraz czeka mnie realizacja „Wieczoru Trzech Króli” Szekspira na otwarcie festiwalu teatralnego w Bergen.

— A więc i na obcym gruncie jest Pani wierna swojemu najukochańszemu autorowi. Życzę sukcesów artystycznych w kraju i za granicą, dziękuję Pani za rozmowę. Do widzenia za rok na Konfrontacjach w Opolu.

Rozmawiała:
ROMANA KONIECZNA